

## Elizabeth Bucka

### „Pomyśl o lilii”

#### FRAGMENTY

Matty wyszła na zewnątrz, na dwór. Ogród tonął w zieleni i brązach, było zimno i wilgotno, ale nie tak przejmująco jak zimą. W gałęziach czereśni, rosnących przy korcie, między pąkami, krzątały się sikorki, a dżdżownice dziurawiły trawnik. Dla zabawy Matty stanęła na jednej, a potem przyjrzała się rozpląszczonej plamie. Jej buty chlupotały i oblepiały się błotem. Pod platanem dojrzała kępkę w pełni rozwiniętych późnych tojadów. Zatrzymała się, żeby popatrzeć na ich żółte główki – te rosnące tuż pod drzewem były mniej lśniące niż te rosnące dalej.

Nad rzeką kwitł oczar. Matty zapatrzyła się w jego kolczaste czerwone płatki. Ich zapach wiercił ją w nosie. Wzięła kilka głębokich oddechów. Nabrzeże zawojowały krokusy, a pod kupką zgniłych liści dostrzegła cętkowane liście psiego zęba. Wiedziała, że to on, bo widziała jego rysunek w notesie Jocasty.

Wlekła się wzdłuż brzegu rzeki aż dotarła do mostka, po którym już kiedyś szła, gdy pierwszy raz znalazła się w ogrodach Hinton Dysart. Krople deszczu z poprzedniego dnia skapywały jej na policzek. Skręciła w prawo i zaczęła iść wzdłuż małego strumienia, który z nie wiadomych przyczyn nosił nazwę strumyka Harryego. Tutaj na południowym krańcu ogrodu, roślinność stawała się bardziej dzika i bujna – posplatane gałęzie i pędy przywodziły na myśl awangardową rzeźbę. Krople zwisające z liści odbijały promienie słońca. Matty dotknęła jednej, a potem posażała palec jak dziecko.

Sięgnęła po chusteczkę i natknęła się na zdjęcie. Fotografie nie powinny kłamać, ale ta właśnie to czyniła. Mówiła, że widniejąca na niej rodzina jest szczęśliwa. Postrzępiony brzeg wbił się Matty pod paznokieć. Niczym sejsmograf wyczuła stary gniew i niepokoje.

Czego brakuje w jej rozumowaniu?

W wawrzynie zaskrzeczał jakiś ptak. Podniosła na niego wzrok. To wtedy zauważyła, że pomiędzy krzewami w południowo-zachodnim rogu ogrodu – tam gdzie widziała niebieski błysk w dzień po ślubie Polly – ukryta jest ścieżka. Latem była niewidoczna z powodu liści na krzewach, ale teraz przez gołe gałęzie widziała ją wyraźnie. Wiła się od trawnika w stronę ściany muru otaczającego południowe granice ogrodu.

Zaintrygowana, Matty przydeptała największe gałęzie krzewu i przepchnęła się przez powstały wyłom. Po jakichś piętnastu metrach zarośla stały się rzadsze, i tam, gdzie spodziewała się natknąć na ścianę, przy skupisku srebrnych brzoź, ścieżka ostro skręcała w prawo, kończąc się polaną.

Matty była zdumiona. Próbowwała określić, gdzie się znajduje. Zamiast biec na północ w stronę kortów i otoczonego murem głównego ogrodu, graniczny mur zakrzywił się, przez co tworzyła się zamknięta i osłonięta przestrzeń. Nie dałoby się jej zobaczyć z ogrodu, nie dostrzegła jej też nigdy z drogi.

Stała na wzniesieniu pagórka, a poniżej miała mieniące się kolorami bluszcz, pokrzywy, krzaczki jeżyn i czarnego bzu. W centrum zobaczyła kamienną bryłę. Nic nie rozumiejąc odwróciła się, aby popatrzeć na ścieżkę, wzdłuż której tu dotarła, i pojęła, że rosnące przy niej drzewa zasadzono tu specjalnie, tak żeby tworzyły alejkę spacerową.

Znowu się obróciła i jeszcze raz przyjrzała się zapadniętemu terenowi. Coś jej mówiło, że nie zawsze porastało go zielsko. Nagle przyszła myśl: to właśnie był kiedyś właściwy ogród.

Bez żadnej zapowiedzi poczuła głęboko w piersiach zimną kulę, otwierającą drogę cierpieniu. Chciała rzucić się do ucieczki, ale strach przygwoździł ją do ziemi. Chciała krzyknąć, ale zaschło jej w gardle.

Kiedy wreszcie odzyskała panowanie nad sobą, przynajmniej na tyle, by móc się skupić, w środku zapomnianego ogrodu, koło kamiennej bryły zobaczyła dziecko. Miało płowe włosy; ubrane było w płaszczyk, kapelusik i getry. Nawet pomimo sporej odległości Matty mogła dostrzec w jego oczach wyraz zagubienia. Wyglądało tak, jakby potrzebowało pomocy.

- Zaczekaj – wydyszała, ześlizgując się niezgrabnie ze skarpy. – Zaczekaj na mnie. – Pośliznęła się, zachwiała i padła na plecy. Dźwignąwszy się na nogi, wyciągnęła rękę. – Zaczekaj.

Ale dziecko nie zwracało na nią uwagi. Odchodziło bezgłośnie.

- Czekaj!

Dziewczynka nie zatrzymywała się. W uszach Matty pojawił się znajomy wysoki dźwięk. Przyłożyła do nich dłonie. Zaplątała się w bluszcz, jeżyna rozdzierała jej pończochy, buty wypełniły się błotnistą breją. Znowu się pośliznęła, ale tym razem zdołała utrzymać równowagę. Podniosła wzrok, lecz dziecka już nie było. Z trudem dotarła do kamiennego postumentu i opadła na ziemię.

- Gdzie jesteś?

Nie usłyszała odpowiedzi, nie usłyszała żadnego dźwięku. Ani śpiewu ptaków, ani szelestu liści. Nie słyszała nawet pisku w uszach. Nic oprócz własnego ciężkiego oddechu. Dookoła zapanowała głęboka cisza, zaraźliwa cisza. Więc Matty także zamilkła.

Stopniowo zaczynała orientować się w topografii otoczenia. Pod ścianą rozpoznała szkielet po klombie. Po jego prawej stronie z ziemi wyrastały dwa zardzewiałe porośnięte zielskiem łuki z kutego żelaza. W miejscu, w którym stała, kiedyś musiał być trawnik, teraz przez zaniedbanie zamieniony w busz składającą się z perzu, koniczyny i mchu. Wszędzie wały się zgniłe liście – mokre i szarobrązowe, wydzielające charakterystyczną woń. Kamienny postument pokrywały kępki porostów. Matty zdjęła rękawiczkę i poskrobała paznokciem po kamieniu. Spod porostów wyłonił się marmur upstrzony cieniutkimi ciemnymi żyłkami. Matty cofnęła się dwa kroki i wyrwała z ziemi kilka łodyg wierzbówki obrastającej postument. Po bliższych oględzinach kamienna bryła okazała się być rzeźbą przedstawiającą kobietę trzymającą dzban na ramieniu. Kobieta spoglądała w dół, pod stopy. Artyście świetnie udało się uchwycić falowanie jej szat i ciężko opadających włosów. Uśmiechała się – spokojnie, ufnie. Zauroczone rzeźbą, Matty odsunęła resztę liści i odkryła postać dziecka, bawiącego się u stóp kobiety.

Odsunęła się, obróciła na mokrej trawie i poszła przyrzeć się klombowi pod ścianą. Nie chciała płakać. Nie zważając na to, że pobrudzi płaszcz, ukucnęła

i zapatrzyła w ciemną ziemię. Czas i brak opieki dokonały zniszczeń, ale nie nieodwracalnych.

Mimo że nie знаła się na rodzajach roślin Matty rozpoznała krzew różany i powojnik wspinający się na ścianę. Po chwili podniosła rękę i zakryła nią usta. I została w tej pozycji przez długi czas. Zastanawiała się nad tym, jak doszło do tego, że znalazła się w obecnym położeniu - niekochana żona, bezpłodna, otoczona tajemnicami obcej rodziny. Rosło w niej podejrzenie, że jest tak, ponieważ zasłużyła sobie na to wszystko. Za jej nieśmiałością, rezerwą, zamiłowaniem do piękna, jej męczennictwem, jej nieużywaną zdolnością do kochania, krył się strach - że jej życie ułożyło się tak jak się ułożyło, bo jest osobą, której nie można pokochać.

Z pagórka nagle powiało i bryza rozrzuciła jej włosy. Nogi buntowały się z powodu niewygodnej pozy. Musi jakoś odmienić swoje życie - tylko nie wiedziała jak tego dokonać. Nie wiedziała jak.

Bezmyślnie przesuwała dłonią po klombie. Nagle natknęła się na jakieś wybrzuszenie. Spojrzała w dół. Przez liście i trawę przedzierała się zielona roślinka o kwiatach z podługnymi płatkami: świeża, zwarta i upstrzona żółtawymi cętkami. Nie trzeba było wielkiej wiedzy, żeby się domyślić, iż to pierwiosnek. Jasny i pełen energii - całkowite przeciwieństwo schorowanego, upadłego ducha w Matty.

Lekko drżąc, rozsunęła liście i odsłoniła białe kielichy. O tak - głos Jocasty przyplął z głębin pamięci. - Podługne kwiaty, malutka. Jasne z ciemniejszymi oczkami. Zobacz, łodyżka pokryta jest miękkimi włoskami. Zapisz w swoim notesiku, Matty...

Bardzo delikatnie Matty dotknęła rośliny od spodu i skierowała jej kielich w swoją stronę.

- Jak udało ci się przetrwać? - zapytała.

(s.184-187)